

Bolesław Włodzimierz Lewicki

K.L. Auschwitz Nr 810

K.L. Gross-Rosen Nr 2582

Poczekalnia śmierci

W Gross-Rosen baraki i cały obóz położone były na zboczu góry kamieniołomowej, biegnąc w dół do bagnistej chyba łąki. Za łąką był nieduży las i teren znowu podnosił się. Na samym dole, tuż przy drutach, nieduży prostokąt terenu był zastawiony, jak jakaś mikroskopijna widownia teatru, wąziutkimi ławkami. Były to po prostu deski oparte na wbitych w ziemię palach, ale tak blisko siebie ustawione, że gdy siedziałeś tam, czułeś na nerkach ucisk kolan tego co siedział z tyłu, sam zaś kolanami wwiercałeś się w kogoś poniżej. No i ściśnięte łokcie z prawej i z lewej, bo na ławeczkach było przeważnie więcej siedzących niż miejsc. Nie wolno było rozmawiać nawet szeptem, ani ruszać się bo pilnujący kapo bił natychmiast długą żerdką. Ze z góry leje deszcz, albo że piecze słońce - to nie ma znaczenia. Bo to właśnie była kuracja, lagrowy przepis dla rekonwalescentów. Bo ci siedzący - to chorzy, a ten pilnujący z żerdką - to "pielęgniarski", a całe to miejsce wraz z opisanym obrządkiem - to tzw. schonung obozu Gross-Rosen. Słowo schonen - znaczy: chronić, osłaniać. A więc swego rodzaju zabieg kliniczny. Ale w gruncie rzeczy była to zwyczajna poczekalnia "Häftlingów", którzy w rewirze obozowym jako szczyt łaski lekniczej "dostali schonung", prowadzono po apelu na to dziwne miejsce z ławki. Tam siedzieli, sieczeni deszczem, wiatrem lub upałem, bodąc się permanentnie kolanami i łokciami, bez ruchu i bez słowa, od apelu do apelu, byle rychlej nadeszła noc na własnym bloku. A na drugi dzień to samo. W tej sytuacji "kuracja" była czymś gorszym od pracy w komandzie.

Siedziałem aż dwa dni w tej okropnej poczekalni. Mimo że byłem przedtem dotknięty do granic wyobraźności i - zdawałoby się wytrzymałości. Czekałem na urwanie się z schonungu, ma rzec o pracy, choćby w kamieniołomie. Stało się inaczej - jak zwykle w takich wypadkach: metafizyka i cud. Trzeciego dnia sam straszliwy legerführer Thumann wybrał wśród kilkudziesięciu innych i mnie do transportu do Dachau. W tym wypadku było to ocalenie.

W ciężkich, tragicznych chwilach nieraz zdarza się, jak u Szekspira: coś się dopłata komicznego. Tak zdarzyło mi się i w Gross-Rosen, choć samo wspomnienie o tym obozie gniotące jest i trudne do zniesienia. Pisałem do rodziny - a korespondencja z rodziną była tu, o zgrozo, obowiązkowa - "jestem zdrowy i krzepki", co miało się właśnie z prawdą, ale stylistyka obowiązująca musiała być zachowana.

W obozie trzeba było się ratować, choćby przez lepszy przydział pracy. Nauczony złym doświadczeniem z deklarowaniem przeszłości inteligentniej, w tym obozie przy urzędowym przyjęciu do obozu podałem jako zawód: Filmtechniker, co okazało się wielką, jakby nie było, lekkomyślnością. W poprzednim, przedwojennym wcieleniu studiowałem wprawdzie - w trybie fakultatywnym - tech-

nikę kina u Witolda Romera na lwowskiej politechnice, umiałem obchodzić się z kamerą filmową, ukończyłem nawet organizowany przez PAT-a kurs wyświetlania filmów 16-kowych, wszystko to jednak nie pomogło mi ani odrobinę w kłopotach, które mnie czekały. Zarejestrowany przez schreibera zawód nie uchronił mnie od ciężkiej bieganiny z taczkami i łopata, gdzie straszny Harry Lipinsky pałąką i wrzeskiem wyciskał z nas siódme poty. Gdy więc po paru tygodniach, pewnego popołudnia przybiegł na komando łopaciarzy lauffer z arbeitseinsatzu i wywołał mój numer, zdziwiłem się, ale i ucieszyłem jednocześnie, bo każda bawiem przerwa i odmiana w beznadziejnej bieganinie z obciążeniem musi cieszyć. Aliści tuż za krótkotrwałą radością wyłoniło się zmartwienie. Bo cóż się stało? W miasteczku Gross-Rosen zachorował nagle jedyny kinotechnik, a kino miejscowe miało tego dnia zamówiony seans dla Hitlerjugend /Góry w śniegu/ i zaraz potem drugi - dla załogi esesmańskiej /Serce pod kotwicą/. Oba te tytuły, oczywiście w niemieckim brzmieniu, będę pamiętał chyba przez całe życie. Bo cóż się stało?

W rejestrze zawodów häftlingowskich wyczytano, że jest jakiś kinomechanik /to było właśnie przy moim nazwisku/, no więc biegiem do miasteczka, pośt z karabinem biegł również i do roboty. Po drodze truchlałem już częściowo, ale do reszty zamarłem ze strachu w samej kabynie. Coś tam rozumiałem się na technice kinowej i sam rzut oka na sterzący samotnie, stary, zdezelowany aparat Ernemanna do tego z zepsutą regulacją węgla w lampie łukowej - wystarczył. Ale dobiegający z sali jazgot zebranych już hitlerjungów i perswazje dyżurnego esesmana: "Dalej, prędzej, ruszaj się, ty świński psie" - nie pozwoliły na rozmyślenia i wątpliwość.

Założyłem jakoś taśmę, puściłem w ruch aparat, rozpięty na nim jak na krzyżu, bo z jedną ręką na kremarierze, a z drugą na ręcznym regulatorze węgla w lampie. I w tej sytuacji, gdy ani mowy o tym, by spojrzeć przez okienko na ekran, z sali dobiega mnie ryk radości umundurowanych podrostków i już do kabiny wbiega esesman, krzycząc: Zatrzymaj, natychmiast zatrzymaj!" i kopiąc mnie w różne, dostępne jego nodze, części ciała. A ja nie mogę spełnić jego życzenia, ponieważ nie wiem, jak zatrzymuje się Ernemanna, a boję się zapalić taśmę i spalić kabinę. W rezultacie esesman wrzeszczy, film leci dalej, aż się rolka skończy, a ja już widzę w okienku, że pomyliłem najoczywistej rolki, ponieważ na ekranie miotają się w objęciach marynarzy jakieś bardzo porozbierane detale dziewczęce.

Gdy rolka dobiegła końca, udało mi się jakoś zatrzymać aparat - na tym jednak nieudanym debiucie skończyła się moja lagrowa kariera kinomechanika. Odesłano mnie natychmiast z powrotem do obozu. Ile tu jeszcze dostałem w zęby... Ważne jednak, że wrócono mnie już nie do łopaciarzy, gdzie był mój dotychczasowy przydział, ale - o dziwo! - do komanda elektryków /gdzie był kapo Michalsky, z kośćmi dobry człowiek/. Rugający mnie esesman z arbeitseinsatzu uważał najwidoczniej, że skompromitowany kinomechanik zdegradowany być winien na elektryka.

Pewnego ranka, tuż po apelu, sam Thumann wezwał całe komando elektryków i zarządził natychmiastowe sprawdzenie trzeciej fazy w potężnym drucianym płocie, okalającym cały obóz. Każdemu z elektryków komanda przydzielono odcinek obejmujący kilka słupów betonowych, na których naciągnięte były druty i zarządzono pośpiech. Wzdłuż całego terenu tej roboty przechadzali się kontrolujący esesmani. Nie muszę opisywać jaki kłopot wynikł ze mną, którego elektrycka fachowość ograniczała się na komandzie do noszenia skrzynki z kablami oraz drabinki. Lekko zaaferowany kapo Michaleky pociągnął mnie za rękaw w możliwie pusty punkt obozu /na dół, za prostokąt schonungowy/ i postawił mnie przy jednym ze słupów wraz z moją skrzynką. "Rób tu cokolwiek" powiedział, odkręcaj dolne izolatory, albo coś, gdy ktoś obleci prędeż ze swoim odcinkiem to zmieni cię". Powiedział, pogonił dalej, zostałem sam. Plecami do terenu obozu, z nosem tuż przy słupie, udawałem sam przed sobą, że coś robię obcęgami. Bałem się nawet żywiej poruszać, bo post z pobliskiej wieży wartowniczej, zaciekawiony, przyglądał się temu, co na dole.

Czas dłużył się bardziej niż bardzo. Niby spokój na tym 7 rzeczywiście pustawym - odcinku. Za drutami łąka, za łąką lasek, śmigają nisko jaskółki, ja postukuję cichusienko flachcengami o dolny izolator. Leciutko, aby nie natrafić na coś naładowanego prądem. Nawet nie wiem, czy wyłączony i co jest z tymi fazami. Nagle gdzieś za plecami krok, nareszcie ktoś z prawdziwych elektryków nadobodzi... Odwracam się - a tu w efektownym rozkroku zatrzymał się jakiś scharführer. Melduję się, bo co innego mogę uczynić: "Häftling 2582" "Mach weiter, mach weiter" przerywa mi i patrzy. Odwracam się do słupa i zaczynam coś dudrać obcęgami przy izolatorze. Mija wieczność, za plecami cisza. Okropne, nie do wytrzymania. Wreszcie słyszę: "Du" - robię w tym zwrot jak na mustrze, czapkę sprężyście zrywam z głowy - a on wcale nie rozżłoszczony, pyta tylko z niejakim zaciekawieniem w głosie: "Was bist du eigentlich von Beruf?". Ze strachu zdobywam się na dziwny nowotwór językowy, no i zawodowy. "Filmkinoelektriker" - krzyknąłem głośno. Scharführer zaczyna się śmiać, wpięrw cicho, potem coraz głośniej. A potem mówi: "Filmkomiker bist du vielleicht, bestimmt aber kein Elektriker" - i dopiero teraz zawrzeszczał z całej siły: "Kapo, Kapo nimm den Idioten weg!" I na tym się skończyło. Nawet numeru nie kazał zapisać - jak by to nie było w Gross-Rosen. Głowy nikt mi nie uciął, bo paru kopniaków pro forma nie warto nawet pamiętać.

Głowę wraz z życiem straciłbym dopiero pamiętnego /dla mnie oczywiście/ szóstego sierpnia 1942. Śmierć była wówczas o parę milimetrów ode mnie - w scenarii groźnej, okrutnej i po niemiecku komedianckiej. Nie była mi jednak, jak się okazało, pisana. Nie warto więc mówić o powodach i detalach. Przed tym faktem jednak --i po nim - sprano mnie tak dokumentnie, że już się z tego w trybie normalnym nie pozbierałem. Owego dnia, na placu apelowym, przed frontem stojących w szyku wszystkich bloków - ocalałem, a wykończyłoby mnie - dosłownie i fizycznie - parę dni schonungu, przyznanych mi "dla poratowania zdrowia". Na szczęście - jak wspominałem - dołączono mnie do transportu do Dachau. Tam dopiero stanąłem na nogi.

/Wyjętek z książki - Wiesz jak jest - Wyd. Łódź
Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.46.